Nr. 1. Warszawa, d. 1 Stycznia 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).








KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W styczniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, kaczki, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacya w styczniu.

Nów d. 3 o g. 11 w nocy.
Pierw. kw. d. 10 o g. 3 po poł.

Wschód i Zachód Słońca

w grudniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	8	14	3	53
2	8	14	3	54
3	8	14	3	55
4	8	14	3	57
5	8	14	3	58
6	8	13	3	59
7	8	13	4	1
8	8	12	4	3
9	8	12	4	4
10	8	11	4	6
11	8	11	4	7
12	8	11	4	8
13	8	9	4	9
14	8	8	4	10
15	8	7	4	12

LEŚNICZY

młody, katolik, z 6-cioklasowem wykształceniem, kilkoletnią praktykę w większych lasach i chlubnemi świadectwami, obeznany z łowiectwem — poszukuje posady podleśnego, pomocnika nadleśnego, lub też leśniczego w mniejszych lasach.

Adres: **Zarzycki, w Warszawie ulica Biała Nr. 5.** 36

Istnieje od 1854 r.

ZAKŁAD

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

Antoni Łastowski

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 22.

A. Łastowski 3

Uczeń Delesalle'a w Paryżu.

Egzystująca od roku 1824

W. Stowasser Synowie

Cesarsko-Królew. Uprzywil.

Fabryka instrumentów muzycznych

w Graslic *(Austrya), w Weronie (Włochy).*

w Warszawie Nowy Świat 36.

Poleca wielki wybór instru- i rzniętych, także myśliwskich y, gitary citry etc. Tamże eracye rozmaitych instrumen- płatnie. 28

Polskie Biuro Leśne w Warszaw

Żórawia 22. Telefon 90-90.

Poszukuje się dzierżawy dobrego terenu myśliwskiego łowienia żywych zajęcy. Również możemy zakupić więk ilości ży[illegible]ajęcy.

Ło[illegible] własnemi sieciami. Ceny dobre.

Za[illegible]kich Polowań

[illegible]ALE

kupuje wagonami [illegible] i buraki pastewne (mogą by w stanie zmarzniętym) loco stacya kolejowa Tomaszów, Dr. Że Nadwiślańskiej.

Oferty wraz z ceną uprasza się składać na imię Łowczeg Cesarskich Polowań w Spale, przez Tomaszów Rawski. 29

DZIEŁA MYŚLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego"

„Kuropatwa szara, czyli pospolita". Monografia, napisana przez ***Juliana Biesiekierskiego***, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Dzieło to, z licznemi illustracyami w tekscie, traktuje wyczerpująco hodowlę i ochronę tego ptaka, który jest stałym mieszkańcem pól naszych i jako taki, winien być dokładnie przez naszych myśliwych poznany. **80 kop.**

„Kuropatwa". Monografia, napisana przez ***Wiktora Stephana***, nadleśnego dóbr Wilanowskich. Dzieło to równie jak i poprzednie, zawiera liczne, objaśniające rysunki i równie wyczerpująco traktuje hodowlę tego kulturalnego ptaka. **60 kop.**

„Sarna". Monografia sarny napisana przez ***Wiktora Stephana***, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

„Zając pospolity". Monografia, napisana przez ***Wiktora Stephana***, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. pr. myśl. Monografia ta wyczerpująco przedstawia tego najpospolitszego na naszych polach zwierza, stanowiącego najważniejszy objekt łowiectwa naszego. **70 kop.**

„Hodowca a myśliwy" przez ***Ernesta hr. Sylwa Tarauca***. Autor cieszy się opinią wybornego znawcy rzeczy myśliwskich, zarówno w Czechach, jak w całych Niemczech. Podręcznik ten winien się znajdować w rękach każdego prawdziwego myśliwego. **1 rb. 20 kop**

„Notatki myśliwskie z Indyj" ***Józefa hr. Potockiego***. Dzieło to, najwyższego interesu dla każdego sports-na-myśliwego, wyszło przed kilku la kładem autora w wydaniu ilustrow i tak wykwintnem, jakie tylko sp można wśród najdroższych wydaw zagranicznych. Wydanie to, pomimo sokiej ceny, zupełnie wyczerpane z Ażeby uprzystępnić szerszemu ko szych myśliwych zapoznanie się z c tekstem tego dzieła, wypuszczamy je daniu taniem. **75 kop**

„Notatki myśliwskie z Dale Wschodu" — Cejlon — przez ***Józ Potockiego***. Wszystkie uwagi nas mieszczane przy poprzedniem dziel szą się w całości i do tych notatel **75 kop**

„Żelaza i pułapki myśliwskie" ***Rudolfa Webera***, z podobiznami ws go rodzaju żelaz i pułapek. Dzie obznajmia dokładnie ze sposobami żelaz i pułapek w celu niszczenia żników, zarówno czworonogich, jak i dlatych. Cieszy się ono w Niemczech mnem rozpowszechnieniem, jako na przez znanego specjalistę i wynala licznych samołówek w celach m skich. **75 kop.**

„Myślistwo z ogary" przez ***Jana hr. roga***, wojewodę Poznańskiego. Dw ki przetrwała ta praca, nie straciw na swojej świeżości i, jak ongi, tak może być czytana z największem zaj tembardziej, że zawiera w sobie sk starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17)

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 211.

Nr. 1. | Warszawa, d. 1 stycznia 1908 r. | Rok X.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



KOZIOŁ CZY KOZA?

Wszystkim naszym współpracownikom, prenumeratorom, czytelnikom i wszystkim wogóle kolegom-myśliwym z rozpoczynającym się Nowym Rokiem przesyłamy serdeczne życzenia wszelkich pomyślności i spełnienia wszystkich pragnień i zamierzeń.

Redakcya „Łowca Polskiego".

ŁOŚ.

Łoś—*cervus alces*, albo *alces palmatus*, — ten najokazalszy z dziś istniejących cervid'ów, jest zarazem największem dzikiem zwierzęciem, zamieszkującem granice dawnej Polski. Rozmiarami przewyższa go jeden tylko żubr, lecz ten potomek potężnego niegdyś rodu, zamknięty, jak w zwierzyńcu, w granicach Białowiezkiej puszczy i otoczony troskliwą opieką, przestaje poniekąd zasługiwać na miano dzikiego zwierzęcia. Łoś, który dawniej obok tura, żubra i jelenia był pospolitym mieszkańcem dziewiczych puszcz całej Polski, z czasem wraz z rosnącą kulturą, rąbaniem lasów i osuszaniem błot zaczął się stopniowo posuwać na północ i wschód; dzisiaj można go spotkać jedynie na Białej Rusi i Polesiu, a także w niektórych okolicach Wołynia, Litwy, Żmudzi i Kurlandyi. Dwa są źródła, dostarczające łosi wyżej wymienionym prowincyom: z jednej strony rozległe, nietknięte toporem lasy północnej Rosyi, zasilające w tę zwierzynę Kurlandyę, północną i wschodnią Białą Ruś, Żmudź i Litwę przez Pskowską i Smoleńską gubernię, z drugiej—Polesie, z którego wzdłuż wybrzeży Horynia i południowej Słuczy zapuszczają się łosie daleko w wołyńskie lasy, na północ zaś posuwają się brzegami Berezyny i licznych dopływów Prypeci aż do źródeł Niemna i Dźwiny, spotykając się tam i łącząc ze swymi północnymi współbraćmi. Na wstępie zaznaczyć muszę, że w pracy niniejszej mówić będę jedynie o łosiu, zamieszkującym środkowe powiaty mińskiej gubernii, a więc, że się tak wyrażę, o łosiu polesko-białoruskim, od którego mało mi znany, północny typ różni się nieco tak wyglądem, jak i zwyczajami, wskutek odmiennych warunków klimatycznych i fizyograficznych.

Łoś w swem krótkiem i zwięzłem cielsku, osadzonem na niezmiernie wysokich nogach, w rozrosłym przodzie i muskulistym karku, w olbrzymiej, garbonosej i brodatej głowie, opatrzonej masywnymi rogami, wreszcie w całej swojej postaci ma coś ze zwierzęcia przedpotopowego. Trzeba go widzieć, gdy na tle poleskiego krajobrazu pasie się w gronie rodziny na leśnej polanie lub z założonymi na grzbiet rogami mknie przez takie moczary, gdzie człowiek ledwie może się przedostać, — aby sądzić o dzikiej jego piękności. Słyszałem niegdyś zachwyty pewnego galicyjskiego myśliwego nad karpackim jeleniem i złośliwe porównywanie z nim brzydkiego, szkaradnego wprost łosia; pan ten musiał widzieć łosia jedynie na oleodrukach z ośmnastego stulecia lub w najlepszym razie w gabinecie zoologicznym. Pięknym jest, bez wątpienia, jeleń, lecz niemniej pięknym jest łoś, tylko każdy w swoim rodzaju.

Maść łosia trudno jest określić, bywa bowiem różną, zależnie od wieku zwierzęcia i pory roku. Typową maścią jest ciemno brunatna, na grzbiecie przechodząca w czarną, lecz trafiają się najrozmaitsze jej odcienie, zaczynając od stalowo-szarego, a kończąc na czarnym. Niektórzy odróżniają łosia szarego od brunatnego, nazywając pierwszego szwedzkim i upatrując różnicę nawet w kształcie rogów i wielkości, lecz podział ten zdaje się nie mieć racyonalnych podstaw. Wogóle daje się zauważyć, że im starszy jest łoś, tem ciemniejszy, a zimą ciemniejszy, niż latem. Większa lub mniejsza domieszka szarego zabarwienia zdaje się być uwarunkowaną przewagą liściastych lub iglastych lasów w okolicy, w której mieszka dany osobnik, zastrzegam się jednak, że są to tylko przypuszczenia, nieoparte na ściślejszych badaniach. Ku dołowi maść łosia jaśnieje, brzuch i tylne nogi są białe, co dziwny nadaje wygląd zwierzęciu, widzianemu z tyłu, wygląda ono bowiem, jakby ubrane w białe spodnie; głowa jest brunatna, biaława przy pysku, opatrzona długiemi uszami i olbrzymią, mięsistą, górną wargą. Na środku nosa widnieje mała, czarna łatka; uzębienie jest takie samo, jak u bydła rogatego, t. j. górna szczęka pozbawiona jest zębów siecznych; racice czarne, wązkie i ostre. Samica, zwana klępą lub łoszą, ró-

Anegdotka myśliwska.

W młodszym będąc wieku, t. j. wtedy, kiedy, jak to powiadają powszechnie ludziska, świat stoi dla każdego otworem i mani złudnemi nadziejami, to w owej porze, jak to z własnego wiem doświadczenia, patrzy się rzeczywiście jakiemś lepszem okiem nietylko na ludzi, ale i na całe otoczenie, w którem się żyje i obraca. Serce, nieschłodzone zawodami, bije żywszem tempem i łatwiej lgnie ku tym, co się rozumem zdołali wyróżnić lub położonemi dla kraju zasłynęli zasługami. Właściwości tej podlegało wielu przedemną i niewątpliwie podlegać jeszcze będzie w przyszłości, to też nie widząc w tem nic uwłaczającego, śmiało się włączam do ich szeregu.

Wtedy właśnie, kiedy się w takiej fazie życia znajdowałem, w rodzinnych moich stronach przemieszkiwał szlachcic, prawdziwy karmazyn, który do końca życia wierny celibatowi pozostał, a jako taki, nieco zdziwaczeć musiał. W młodości strasznie podobno przepadał za wojaczką, a do siódmego krzyżyka uchodzić miał za gorliwego czciciela Diany, o czem przy każdej sposobności lubił wspominać. Dużo świata zwiedził i umiał na niego zdrowo się patrzeć, a że dar wymowy posiadał, przeto opowiadania jego chętnie słuchane bywały, bowiem nietylko nosiły zupełną cechę autentyczności, ale i zaciekawienie wzbudzały swą obrazowością, lecz skoro tylko potrącił o myśliwkę, wtedy już wpadał w zapał, a nie mogąc onego opanować, puszczał wodze fantazyi, plotąc niestworzone bajdy. Pomimo tej ujemnej strony p. Wojciecha, bo takie nosił imię, rodzice moi bardzo go uważali, wskutek czego częstym bywał u nich gościem. Starca tego i ja również polubiłem, był bowiem to typ niezwykły, jakich się już teraz nie napotyka, umiejący w młode serca wpajać tradycye narodowe, które teraźniejsze pokolenie tak lekceważąco traktuje. Opowieści p. Wojciecha przypadały mi do gustu, co widocznie i on zauważyć musiał, wyróżniając mnie więcej od innych młodych ludzi. Pomimo tak znacznej różnicy wieku, albowiem śmiało mógł mi być dziadkiem, serdeczna przyjaźń zawartą pomiędzy nami została.

Na kilkanaście lat przed śmiercią, z powodu jakiegoś nabytego feleru w nodze, zupełnie zaprzestał brania udziału w polowaniach, jednakże palony namiętnością myliwską, nie opuścił żadnej okazyi stawienia się pod wieczór tam, gdzie w sąsiedztwie

żni się od samca brakiem rogów, lecz nawet wtedy, gdy samiec straci swą ozdobę, łatwo go odróżnić od małżonki po większym wzroście, szerszym i wyższym przodzie, dłuższej brodzie i męzkim wyglądzie całej postaci Łosze cielą się na początku lub w połowie kwietnia, młode miewają zwykle po jednem cielęciu, stare — zawsze dwoje. Cielęta, zwane u nas łoszukami, rodzą się szaro-rudawe z czerwonym odcieniem, lecz już w końcu lata zmieniają maść na zwykłą, brunatną. Następnej wiosny, gdy młody samiec ma rok skończony, wyrastają mu rożki, nierozgałęzione jeszcze i skierowane ku przodowi; nazywa się on wtedy śpiczakiem. Rożki te, miękkie z początku i pokryte szerścią, wykształcają się stopniowo i w sierpniu dosięgają normalnych rozmiarów; wtedy łoś ociera je ustawicznie o pnie i gałęzie drzew, zeskrobując porastające je, delikatne, szare uwłosienie. U młodych oczyszczają się rogi później, niż u starych egzemplarzy, lecz w końcu sierpnia, a najdalej w pierwszych dniach września wszystkie łosie mają już rogi czyste. Pierwotnie świeżo oczyszczony róg ma jasne, czerwonawo-brunatne zabarwienie, lecz, stopniowo ciemniejąc, staje się na początku zimy prawie zupełnie czarnym, tylko końce rogów pozostają zawsze białawe. Najwyżej cenione są rogi posiadające piękny, ciemno-wiśniowy kolor z połyskiem

W grudniu łoś traci rogi; im starszy, tem wcześniej, młode dopiero w końcu grudnia lub na początku stycznia. Rogi odpadają zwykle nie jednocześnie, często więc widzi się o tej porze łosie jednorogie. Stąd prawdopodobnie powstał przesąd o istnieniu łosi-jednorożców, u których jedyny róg ma niby-to wyrastać ze środka czoła. Przed zrzuceniem rogów łoś, uczuwając silne swędzenie w ich nasadzie, stara się czemprędzej pozbyć się ciężącej mu ozdoby, tłukąc nią o drzewa; wiedzą o tym jego zwyczaju leśnicy, i gdy znajdą na początku zimy obok tropu świeżo zdartą korę lub połamane gałęzie, dotąd go śledzą, aż nie znajdą jednego lub obu rogów. Większość ich jednak ginie, wdeptana przez łosie w niezamarznięte jeszcze błoto lub mech (niektórzy twierdzą, że łoś zagrzebuje zrzucone rogi), albo wreszcie zrzucona w takiej gęstwinie, gdzie trudno jest przedrzeć się człowiekowi; niekiedy znajdują je przypadkowo chłopi, rąbiący drwa, lub baby, gdy podczas lata zbierają grzyby i jagody. Róg, który długo leżał w lesie, bieleje, przybiera zielonkawy odcień i nosi zwykle ślady zębów drobnych gryzoni. W każdej prawie poleskiej wiosce mieszka przedsiębiorczy żydek, handlujący łosiowymi rogami: za bezcen skupuje on je od szczęśliwych znalazców i następnie korzystnie sprzedaje okolicznym obywatelom ziemskim lub pasażerom na stacyach kolejowych.

Gdy łoś skończy dwa lata, wyrastają mu nowe rogi, już rozwidlone, od których przybiera nazwę widłaka, i tak co roku na wiosnę, przybywa mu po jednej gałązce na każdym rogu; trzyletni łoś nazywa się szóstakiem, czteroletni—ósmakiem i t. d. Im starszy jest łoś, tem większe tworzą jego rogi tarcze, czyli „łopaty“, t. j. rozszerzenia nasady, tem krótsze natomiast stają się gałęzie, zwane „pasemkami“.

Największych rozmiarów dosięgają rogi między ósmym a dziesiątym rokiem łosia; para takich rogów, dobrze wykształconych, waży bez czaszki blizko pud, a niekiedy i więcej. Po dziesiątym roku życia łosia rogi karłowacieją, tarcze tracą ładne kształty, a gałązki stają się nadzwyczaj krótkie, niekiedy tylko ślady po nich pozostają. Bywają tu jednak wyjątki, i widziałem wieniec czternastoletniego łosia, który wielkością i harmonią kształtów nie ustępował wieńcom najładniejszych szesnastaków; rzecz prosta, że okazy takie — to białe kruki, i mało kto z teraźniejszych myśliwych może się poszczycić taką królewską zdobyczą. Nierzadko trafiają się rogi, nienormalnie wykształcone, np. z gałązkami, wyrastającemi nie z tarczy, a wprost z korony, niesymetryczne lub nieparzyste, t. j. gdy jeden róg ma o jedną gałązkę więcej od drugiego; te ostatnie dały powód do utworzenia się mylnej teoryi zmiany rogów u łosia: niektórzy mianowicie myśliwi twierdzą, że łoś rzuca co roku tylko jeden róg, podczas gdy drugi pozostaje przez dwa lata niezmienionym. Znaczyłoby to, iż lata łosia trzeba liczyć nie podług ilości gałązek na jednym rogu, a na obydwóch; widłak, przypuśćmy, miałby w takim razie cztery lata, szóstak — sześć, a pięcioletni łoś musiałby mieć na jednym rogu 3, a na drugim 2 gałązki. Teoryę tę zbija dobrze znany fakt, że łosie o jednym rogu spotyka się tylko w czasie zrzucania rogów, w lutym zaś i marcu nikt z pewnością nie widział rogatego łosia. Zresztą nawet w nieparzystych rogach zwykle można odnaleźć ślad brakującej gałązki. Im większy i silniejszy jest łoś, tem ładniejsze i lepiej wykształcone ma rogi.

---

zbiorowe polowanie miało miejsce. Fatalna pogoda, silny mróz, ani też zadymka nie były w stanie powstrzymać go w domu, stawić się musiał koniecznie, wypytać o wszystkie szczegóły, oraz palnąć sążniste przemówienie do tego, któremu się udało zdobyć królestwo.

Jadał niewiele, wina i wódki nie pijał wcale, tylko w przystępie dobrego humoru nie odrzucił kieliszka starego miodu lub szklaneczki ponczyku, ale zato z ust fajki nie wypuszczał, co chwila ją zapalając, gdyż mu bezustannie gasła przy rozmowie.

Pamiętam, jak raz po takiem polowaniu, kiedy siedziano przy obiedzie, jeden z myśliwych pozwolił sobie wspomnieć, że, strzelając na jesieni do zerwanego stada kuropatw, udało mu się pięć sztuk ubić od jednego strzału.

— Nie widzę w tem nic osobliwego — odezwał się p. Wojciech—sądzę bowiem, że prawie każdemu tu z obecnych niejednokrotnie to się przytrafić musiało, tylko nie chcą się chwalić, gdyż to nie oznacza wcale dobrego strzału, a poprostu jest wypadkowem. Ja to rzeczywiście miałem raz w życiu niezwykłe wydarzenie, wprawdzie nie tak, jak szanowny sąsiad z kuropatwami, ale to było coś nadzwyczajnego, o czem nawet obawiałem się dotąd wspominać, aby nie być posądzonym o przesadę. Naturalnie, nie miało to miejsca w obecnych czasach, kiedy się jest już starym niedołęgą, ale dawniej, gdy się czułem, jak to powszechnie mówią, godnym jeszcze do tańca i do różańca. Dziś, czując się nad grobem, uważam nawet za konieczne wypadek ten opowiedzieć młodszemu pokoleniu, którego kilku reprezentantów tu widzę, aby nie myśleli, że oni tylko zdolni są do czegoś.

Miałem ja przyjaciela w kaliskiem, z którym łączyły mnie serdeczne stosunki, bo nietylko uczyliśmy się razem z Alwara, ale i sporo czasu na kulbace spędziliśmy z sobą Chociaż to porządny szmat drogi, corocznie jednakże odwiedzaliśmy się wzajem, aby pogawędzić o minionem i rozweselić wspomnieniami. Z kolei wypadło na mnie pojechać, a było to w porze dojrzewania pszenicy. Upał straszeczny, wiatru ani odrobiny, więc przy takiej spiekocie nic dziwnego, że oczy kleić się poczęły. Jak długo żydów woziłem, określić ściśle nie umiem, dosyć, że przebudzony zostałem głośnem zapytaniem woźnicy.

— Co to jest, proszę Jaśnie Pana? — mówił, wskazując przed siebie biczyskiem.

Otwieram oczy i widzę coś w rodzaju ciemnej chmury, to w tę, to w ową stronę szybko się w po-

Waga dorosłego samca waha się między ośmnastoma a dwudziestoma pięcioma pudami, dochodząc w rzadkich wypadkach do trzydziestu.

J. Woyniłowicz.

(C. d. n.).



LIZAWKI W ZIMIE.

W kołach myśliwskich jest dość szeroko rozpowszechniony błędny pogląd, że zwierzynie potrzebna jest dodatkowo sól jedynie wiosną i latem. W rzeczywistości jednak, jeżeli chcemy, aby zwierzyna także zimową porą dobrze się czuła, to musimy i wtedy dostarczać jej soli w należytej ilości.

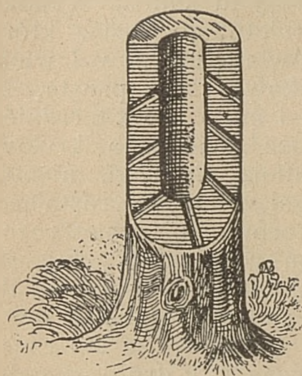


Fig. 1.

Znajdujące się w rewirze lizawki w postaci brył glinianych lub kamieni, napełnionych solą, odświeża się zazwyczaj tylko na wiosnę, a najwyżej raz jeszcze latem, a przeto z początkiem zimy najczęściej są już bez wartości. Gdy więc glina zawiera bardzo mało soli, a przytem zamarza, albo zostaje pokryta głęboką warstwą śniegu, to troskliwy hodowca musi swej zwierzynie dostarczać soli w inny sposób.

To zaś może nastąpić za pomocą środka nader uproszczonego, aczkolwiek bardzo mało jeszcze znanego, a mianowicie za pomocą lizawek ukrytych, które urządzić można w różnorodnej formie.

1. W każdym rewirze myśliwskim znajdują się spróchniałe pnie drzew, do których otworów można zwyczajnie wsypać sporą ilość soli, zamieniając je na wyborne lizawki; doświadczenie wskazało, że zwierzyna bardzo chętnie bierze ztąd sól i częstokroć spożywa ją do ostatka.

2. Tam, gdzie się znajduje nadłamane lub uschłe drzewo, odrzynamy resztę pnia jakiegokolwiek gatunku drzewa na wysokości 1 do 1,50 m., poczem świdrujemy w niem otwór, jak wskazuje fig. 1, następnie robimy pewną liczbę dziur w kierunku ukośnym ku dołowi i na zewnątrz, a te wydrążenia zapełniamy solą. Wskutek wilgoci powietrza, sól jest zawsze mokra i wycieka powoli, soląc pień nazewnątrz. Zwierzyna prędko odnajduje takie lizawki i chciwie z nich korzysta.

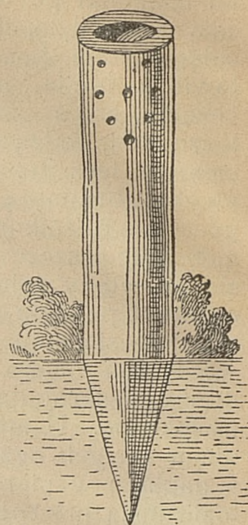


Fig. 2.

3. Gdzie zaś brak odpowiedniego drzewa, używa się umyślnie do tego celu przygotowanych kołków, kijów (fig. 2) tej samej wysokości, jaką wyżej podano; po przystruganiu ich śpiczasto u dołu, wbijamy je na odpowiedniem miejscu. Wskutek ciągłego lizania, oraz ogryzania, kołki te tak dalece się zużytkowują, że nawet w końcu się załamują zupełnie, gdy np. jakiś silniejszy jeleń o nie się oprze; jednakże mogą one wytrzymać lata całe, zwłaszcza, jeżeli z tego powodu staramy się wybrać silne pale.

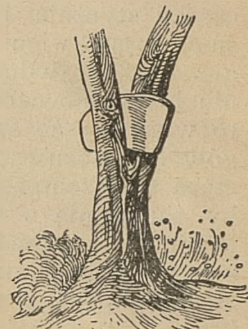


Fig. 3.

Ponieważ kora może przeszkadzać zwierzynie, a przytem kora ta z czasem sama opada, albo ją ogryzają zwierzęta, przeto najlepiej jest zaraz z początku gładko obrać kołki z kory. Im dalej sięga świdrowanie w kiju, tem naturalnie trzeba robić więcej dziur do nasypania soli. Boczne te utwory należy umieszczać sposobem napiętrzonym, jeden nad drugim, w kilku rzędach, i tak mianowicie, żeby one się zaczynały w najgłębszej części wydrążenia i znajdowały się dalej u góry wokoło, by

---

wietrzu posuwającą. Dla dokładniejszego zbadania przecieram oczy po raz drugi i dostrzegam, że to gęsta, zbita masa jakiegoś ptactwa kieruje się w stronę mej drogi i ku ziemi się zniża, a w końcu zapada. Podjeżdżam bliżej, słyszę niezwykły jakiś gwar, ni to szczebiot, słowem nie mogę rozeznać coby to za ptaki być mogły. Gdy podjechałem na jakie sto kroków, dostrzegłem dość sporą łąkę, okoloną pszenicą, i na niej rojące się szpaki.

— A, łajdaki, nie ujdzie wam tak na sucho zwodzić poczciwych ludzi! – pomyślałem i czemprędzej złażę z bryki, biorę fuzyjsko i chyłkiem podkradam się pszenicą.

Skoro podszedłem na trzydzieści kroków, ostrożnie wychylam głowę i prawdziwie zdębiałem na widok, jaki mi się przedstawił. Cała powierzchnia owej łąki formalnie zasłana była gęstą warstwą szpaków,—wymierzyłem, gdzie wydawała się najgęstszą, i kiedy wygarnąłem, dostrzegłem w tem miejscu jakąś okropną masakrę, a jednocześnie zaczęło się ściemniać od zrywających się ptaków,—więc nie namyślając się dłużej, poprawiłem z drugiej rury i widziałem wyraźnie, jak przez wystrzeloną lukę, promienie słońca zabłysły i oświeciły łąkę.

Zebrałem z woźnicą śmiertelnie ubitych ptaków pół bryki, bo więcej nie pozwoliłem z obawy zbytecznego obciążenia koni, bowiem do celu podróży pozostawało jeszcze ze trzy mile dosyć ciężkiej drogi.

Bawiłem u przyjaciela cały tydzień, codziennie jadaliśmy szpaki na różny sposób podawane, ale przejeść nie byliśmy w stanie, więc w końcu, z obawy zepsucia czeladzi, sporo się jeszcze dostało.

Ale nie na tem jeszcze koniec! Dojechawszy w powrotnej drodze na miejsce rozprawy ze szpakami, zdaleka już dostrzegłem wielką mnogość krążących wron, kawek i gawronów, a podjechawszy bliżej, tak nas straszny fetor ogarnął rozkładającej się padliny, że, z obawy dostania cholery lub jakiej innej morowej zarazy, rozkazałem dać po bacie szkapom, aby módz czemprędzej od tego fatalnego miejsca się oddalić.

Tak, moi panowie! Chwalicie się ubiciem od jednego strzału kilku marnych kuropatw, uważając to za jakiś kunszt myśliwski, i głośno na wsze strony o tem trąbicie, gdy ja, jak widzicie, skromny człowieczyna, dopiero dziś, po tylu latach, po raz pierwszy zdecydowałem się o swojem wydarzeniu opowiedzieć.

Oj chwalisze, chwalisze!

J. B.



jaknajwięcej rozpuszczonej soli wydobywało się na zewnątrz.

Wysokość kijów zastosowuje się do miejscowości i zależy głównie od tego, czy zwierzyna ze wszystkich stron może sięgać do otworów, czy niema jakiego podwyższenia terenu i t. d. Należy także uwzględnić wysokość gatunku zwierzyny, dla której przeznaczona jest lizawka. Dla sarn wystarczy 1 m. po nad powierzchnią gruntu, dla jeleni 1,50 m. Im kije są wyższe, tem głębiej należy robić otwory ku dołowi.

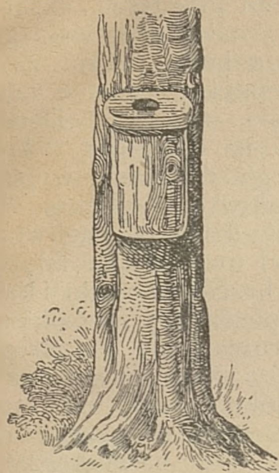


Fig 4.

Ponieważ jednak obydwa te gatunki lizawek ukrytych nie zawsze i nie wszędzie dadzą się łatwo urządzić, można przeto zalecić o wiele jeszcze bardziej uproszczoną lizawkę (fig. 3) Wtyka się mocno na odpowiedniej wysokości kawał soli kamiennej między rozwidlenie drzewa.

Są jeszcze inne sposoby na to, żeby módz ustawić w rewirze liczne lizawki ukryte, bez trudu i uciążliwych przygotowań. Niedawno wynaleziono takie urządzenie nader uproszczone i bardzo praktyczne.

Najnowsze te lizawki składają się ze skrzyneczki, podobnej do beczułek podłużnych a wązkich; skrzynki zawiesza się na jakiemkolwiek drzewie o gładkiej korze, albo na kołku jakimbądź, za pomocą gwoździa wbitego (fig. 4). Można ją także ustawić na pniu drzewa (fig. 5) i przymocować gwoździem; w skrzynce znajdują się już dziury do tego celu.

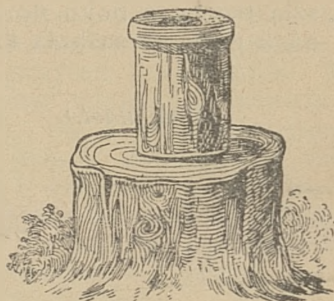


Fig. 5.

W skrzynkach mieści się mieszanka soli i proszku roślinnego, o przyjemnym zapachu, przywabiającym zwierzynę i wpływającym dodatnio na ukształtowanie się rogów i kości. Skrzynkę taką łatwo robić lub kupić, oraz zawieszać, albo ustawiać na odpowiedniem miejscu w rewirze. Jest ona zwłaszcza bardzo użyteczna zimową porą.

K—z.



Z FRANCYI.

Montrésor, *w listopadzie 1907 r.*

W niezwykłem towarzystwie odbyłem moją tegoroczną podróż do Francyi; wiozłem mianowicie ze sobą 30 kuropatw różnej płci, wylęgniętych pod kurami w Natolinie, a które Ksawery hr. Branicki przeznaczył do odświeżenia krwi montresorskich zwierzos anów. Niewielką ja miałem pociechę z moich towarzyszek, bo je w koszyczkach, płótnem zaszytych, wpakowano do brankardu i dopiero ujrzałem je szóstego dnia w Montrésorze, wesoło biegające po wolierze. Raz tylko w Toruniu przy rewizyi bagaża mogłem sprawdzić po alarmujących poruszeniach płótna, że przynajmniej część moich niewolnic przy życiu się utrzymuje, a zresztą nie wiedziałem, jak one biedaczki tę daleką i przykrą podróż znoszą.

Dla wiadomości osób, któreby pragnęły kuropatwy na dalszy dystans transportować, opiszę sposób, w jaki kuropatwy były opakowane, oraz czas, zużyty na całkowitą podróż. Ptaki mieściły się w specyalnie na ten cel plecionych koszyczkach, mających mniej więcej 60 ctm. długości, 40 ctm. szerokości, a 25 ctm. wysokości. Każdy koszyk miał kabłąk do wygodnego ujęcia ręką; zamiast wieka — wierzch kosza zaszyty był płótnem. W każdym koszyku mieściło się 6 sztuk, więc 30 kuropatw zajęło 5 koszyków. Na dno koszów, jako karmę włożono pszenicy w kłosach, moczonej uprzednio przez 12 godzin.

Ponieważ wyjeżdżałem d. 24 października o g. 6-ej rano, więc kuropatwy złowiono w bażantarni natolińskiej i spakowano do koszów w wilię tego dnia po południu i tegoż samego dnia wieczorem odstawiono do Warszawy. Do Paryża przyjechałem w piątek d. 25 października o godz. 4-ej po południu. Czekał tam już na mnie specyalnie wysłany z Montrésoru człowiek, który tegoż dnia o godz. 12-ej w nocy wyjechał do miejsca przeznaczenia. Kuropatwy wypuszczono do woliery w sobotę d. 26 października o godz. 9-ej rano. Ptaki więc pozostawały w niewoli i prawie bez ustanku w absolutnej ciemnicy przez jakie 66 godzin. Mimo to pszenicę zjadły co do ostatniego ziarnka i przybyły na miejsce przeznaczenia w doskonałym stanie zdrowia. Tylko dwie zdechły w drodze, a jedna zaraz po wypuszczeniu z niewoli, ale według zdania p. Stephana, nadleśnego dóbr willanowskich i autora znanych monografij myśliwskich, ptaki te musiały być uszkodzone w czasie łapania. Sądzę, że łatwy ten i na praktyce wypróbowany sposób przydać się może niejednemu z naszych hodowców, któryby pragnął na dalszy dystans żywe kuropatwy przesyłać.

Przy porównaniu naszych kuropatw z francuskiemi szaremi zauważyć mogliśmy następujące różnice: nasze kury są nieco większe i ubarwienie mają ciemniejsze, a mianowicie kolor kasztanowaty, występujący jako mniej lub więcej wyraźne prążkowanie i na podkowie u samców, jest znacznie ciemniejszy, co szczególniej wyraźnem się staje na podkowie, która u kuropatw francuskich jest dość blado-kasztanowata, gdy u naszych bywa nieraz prawie czarniawa. Nadto podkowa u naszych kogutów jest znacznie większa, aniżeli u francuskich.

Hr. Branicki miał zamiar przewieźć do Francyi większą ilość kuropatw, lecz starania, czynione w celu zakupu niezbędnych osobników pozostały bez skutku, co się tłómaczy fatalnym rezultatem zeszłorocznych lęgów. Ani Skierniewice, ani Krośniewice nie miały na sprzedaż żywych kuropatw.

Tegoroczny nasz pobyt w Montrésorze urozmaicony był obecnością bardzo miłych gości, a mianowicie dwóch hr. Sierakowskich, Stanisława i Jana, znanych czytelnikom naszym z opisu ciekawej wycieczki do Indyj Wschodnich, oraz byłego sąsiada montrésorskiego, kapitana Barbier de Montault, który obecnie zamieszkuje w Niort, a zaproszony przez hr. Branickiego, zjechał do Montrésoru i bawił tu do samego naszego wyjazdu. Trzej ci panowie, zapamiętali myśliwi, towarzyszyli nam stale we wszystkich naszych wyprawach, a wieczorem stanowili miłych partnerów, gdy się do bridge'a zasiadało. Zjeżdżał też prawie co dzień na nasze polówki p. Grozon, o którym już nieraz zdarzało mi się wspominać w moich korespondencyach z Francyi.

Polowania, z małymi bardzo wyjątkami, wypełniały nam całkowity czas naszego pobytu. Dwa razy w tygodniu polowaliśmy na grubego zwierza z gończymi, już to w rządowym lesie Forêt de Laches, już to w lasach hr. Branickiego: la Rairie, le

Courday lub la Niverdière. Resztę czasu wypełniały polowania i polowanka na drobniejszą zwierzynę, jak zające, króliki, bażanty i kuropatwy. Czas był ciągle bardzo ciepły, tylko w początkach i pod koniec naszego pobytu bróździły nam nieco deszcze i wiatry.

Pod względem zwierzostanów we Francyi, rok obecny nie przedstawiał się najgorzej. Kuropatw było sporo, jak również zajęcy i bażantów; natomiast stan królików był gorszy, aniżeli lat innych, na co zresztą hodowcy nigdy nie narzekają ze względu na szkody, jakie małe te gryzonie wyrządzają, oraz idące za tem odszkodowania. Jakkolwiek kur było dużo, to jednak polowania na nie dość miernie wypadały, gdyż najczęściej albo deszcz, albo wiatr silny stawały na przeszkodzie do osiągnięcia dobrych rezultatów. Mieliśmy też kilka ładnych polówek w sąsiedztwach, u pp. Raoul-Duval w Marolles, u p. Johan'a w Lestang i u pp. de la Motte-St.-Pierre w Monpoupon.

Niezwykle udatne były nasze polowania tegoroczne z gończymi. Prawie za każdym razem wracaliśmy z jaką zdobyczą, i tylko raz, czy dwa wróciliśmy, jak to się mówi we Francyi „bredouille“ (niby to na czczo). Ogółem przez czas naszych polowań w lesie padło: 9 dzików, 1 łania, 4 sarny i 2 zające. Niebywały rekord na wagę osiągnęliśmy w tym roku z dzikami, na dziewięć bowiem zabitych sztuk były trzy bardzo piękne odyńce, jedna tylko maciora i ani jednego warchlaka, a nawet przelatka, ale tylko same większe sztuki. Dodajmy do tego, że na 9 zabitych odyńców lub wycinków ani jeden pies nie został skaleczony, co przy francuskich gąszczach i znanej złośliwości tutejszych dzików jest rzeczą fenomenalną, a będziemy mieli pojęcie, jak szczęśliwie udały się nam tegoroczne łowy.

Możemy też jeszcze o szczęściu mówić z tem większą racyą, że jedno z naszych polowań na dziki omal że się nie zakończyło tragicznie, a to tylko dzięki przytomności umysłu i zimnej krwi głównego aktora tej awantury. Sądząc, że tego rodzaju wypadek zainteresować może czytelników moich, podaję szczegółowy jego opis.

W środku lasu Forêt de Loches, na skrzyżowaniu dwóch dróg szosowych, w miejscowości zwanej Beau Chêne znajduje się niewielki, murowany domek, wybudowany specyalnie jako *rendes-vous* dla myśliwych. Obok domku znajduje się stajnia, wozownia, oraz drucianą siatką ogrodzona przestrzeń dla psów gończych. Gdy się w domku zjeżdżamy, zjadamy najprzód przywiezione w szwedzkiej kuchni śniadanie, podczas którego psy w sąsiedniej zagrodzie urozmaicają nam pobyt wyciem i szczekaniem, a że jest ich zwykle sztuk około dwudziestu, więc można sobie wyobrazić, że niekiedy koncert ten bywa bardzo donośny. Do tego harmideru przyłączają się jeszcze głosy licznej rzeszy myśliwych i gardów, rżenie koni w stajni i t. p.

Jakby drwiąc sobie z tego blizkiego a niebezpiecznego sąsiedztwa, w dniu, o którym właśnie mówię, zaległ duży odyniec w miocie, przylegającym do zabudowań Beau-Chêne, od których dzieliła go przestrzeń zaledwie paruset kroków. Miot ten trójkątny, ograniczony dwiema drogami szosowemi i jedną linią leśną, składa się z wielkich gąszczów nizkopiennej dębiny, wrzosów, żarnowców, jerzyn i t. p., a gąszcz to tak wielki, że się przezeń człowiekowi przedrzeć trudno. Środkiem miotu biegnie nadto wązka przecinka (*layon*), prowadząca od jednej szosy do drugiej. Dzika otropił jeden z najlepszych tropicieli, więc była wszelka pewność, że zwierz w miocie znajduje.

Obstawiliśmy miot w ten sposób, że na szosie, gdzie była duża szansa skierowania się dzika, stanęło nas czterech, innych czterech zajęło placówki na przecince, a reszta (sami gajowi) — stanęli na linii leśnej i na drugiej szosie. Róg szosy i przecinki zajmował kapitan żandarmeryi, Sibre, który nigdy jeszcze do grubszego zwierza nie strzelał, miał lichą strzelbę, a jak się później okazało — jeszcze lichsze ładunki.

Psy, puszczone na tropy od linii leśnej, zaatakowały dzika tuż w blizkości domku myśliwskiego. Zwierz wypadł na niewielką polankę, gdzie zajął miejsce doskonale znający przesmyki, jeden z gajowych, Desiré, którego omal nie wywrócił; Desiré strzelił, lecz chybił z obu luf na odległość 2 kroków. Dzik, idąc ciągle równolegle do szosy, wypadł na przecinkę w odległości 15 kroków od kap. Sibre'a, który strzelił raz i trafił dzika w pachwinę, lecz kula przebiła tylko skórę i uwięzła na mięsie. Wówczas stojący najbliżej Jan hr. Sierakowski i kap. Barbier, wybiegli na szosę i puścili się za dzikiem, który sunął ciągle gąszczem równolegle do drogi; szedł jednak widocznie wolno, a może nawet przystawał, rozjuszony prawdopodobnie raną, jaką mu kap. Sibre zadał. Następnie strzelał jeszcze do niego z szosy kap. Barbier, ale bezskutecznie, a tymczasem hr. Sierakowski zdołał go wyprzedzić i wpadł na niewielką polankę, obok drogi położoną. Ledwie na niej stanął, gdy wypadł nań dzik i prosto ku niemu sunął. Młody myśliwy strzelił pierwszy raz na dziesięć kroków, a drugi *à bout portant* i tym drugim strzałem powalił go, lecz rulujący dzik przewrócił go jeszcze, tak jednak szczęśliwie, że go szablą nie zawadził. Dzik, padając, wytrącił strzelbę z rąk myśliwego i na nią się powalił. Gdyśmy przybiegli, żył jeszcze, ale były to już ostatnie jego chwile. Pierwsza kula hr. Sierakowskiego weszła trochę z boku do jamy płucnej; druga, strzelana z góry, strzaskała krzyże i przebiła płuca.

Jan Sztolcman.

(Dok. nast.).



WYPRAWA MYŚLIWSKA
do krainy Maşşaï.

Przez
Edwarda Troianowskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

Gniazda termitowe. — Nieudane polowanie na nosorożce — Rekordowa żyrafa. — Choroba barona B. — Dwie zebry na jeden strzał.

1 marca. Miejscowość, w której założyliśmy obóz, wydaje mi się uroczą i odpowiednią, ze względu na ilość widzianej po drodze zwierzyny; prócz tego strumień, który o kilkadziesiąt kroków przepływa, dostarcza nam doskonałej wody do picia i kąpieli, drzewa na opał obfitość,—wszystko to skłania mnie do pozostania tu na dni kilka i korzystania z tego, by zaopatrzyć się w nowy zapas świeżych jarzyn, kartofli, „foszu“, t. j. bobu i kukurydzy. W tym celu posłałem 10-ciu ludzi z listem do misyi w Matsdzokoo, odległej ztąd o półtora do dwóch dni marszu. Oprócz prowiantów, proszę misyonarzy o zwerbowanie i przysłanie mi 15 nowych Wa-Kamba, potrzebnych mi do niesienia skór i trofeów, przybywających z dnia na dzień.

Dzień zapowiada się bardzo upalny z powodu wiatru, który od jakiegoś czasu znacznie słabiej wieje; mimo to, towarzysz mój i ja postanawiamy polować i w tym celu rozchodzimy się każdy w inną stronę szukać szczęścia.

Przez wysoką trawę i zarośla wydostałem się na step otwarty, porośnięty z rzadka karłowatemi akacyami i pokryty całą masą gniazd termitowych. Gniazda takie stanowią doskonałą osłonę przy podchodzeniu zwierzyny; są one ulepione z czerwonej gliny i dochodzą niekiedy do 3 — 4 metrów wysokości. Zadziwiająca jest przytem twardość i spoistość tych budowli. Wielokrotnie zauważyłem, że zwierzyna, a w szczególności stare kozły „Emfole“ i „Rougani“ używając mrowisk temitów za obserwatorya, wchodzą na nie i z wysokości bacznie śledzą grożące im niebezpieczeństwo.

Do godziny 10-ej po bardzo mozolnem podchodzeniu i kilku daremnych strzałach do ogromnego kozła „Emfola“, który sam jeden pilnował stada kóz około 100 sztuk, zastrzeliłem jedną gazellę Thomson'a i z łupem tym powróciłem do obozu.

Kąpiel, a po kąpieli spoczynek pod rozpiętym i polewanym wodą namiotem, do którego wpada lekki powiew wiatru, jest ucztą i rozkoszą, niedającą się opisać. Niestety, krótkie były mi dzis przeznaczone chwile „dolce par niente“, bo w samo południe przybył posłaniec z zawiadomieniem, że towarzysz mój upatrzył dwa duże nosorożce z małym i wzywa mnie, bym natychmiast przybywał. Nie było rady; mimo piekielnego gorąca, nie tracąc czasu, ubrawszy się, poszedłem na spotkanie.

W godzinę drogi byłem już na miejscu. Towarzysz mój oczekiwał mnie pod dużem drzewem, stojącem samotnie na stepie, skąd w odległości mniej więcej wiorsty widniały doskonale trzy czarne punkta. Były to nosorożce, stojące spokojnie. Przez szkła mogliśmy je z największą dokładnością obserwować. Na przemian to jedna, to druga sztuka pokładała się, wietrzyły przytem nieustannie. Mały miał zapewne dopiero parę miesięcy i zdawał się nie być wyższym nad $2^1/_2$ do 3 stóp. Postanowiliśmy go złapać; aby to jednak uskutecznić, trzeba się było pozbyć starych i odłączyć je od małego. Zabijać jednak starego samca nie miałem ochoty, ze względu na małe rogi; do samicy postanowiliśmy strzelać jedynie w ostateczności, t. j. gdyby nas atakowała, i to dopiero na blizką metę.

Tak ułożywszy plan, zostawiliśmy strzelców na miejscu pod drzewem, i we dwóch, zachowując największą ostrożność w ruchach i chodzie, zatoczyliśmy pólkole, by mieć wiatr wprost od zwierzyny. Miejscami, gdzie step zupełnie niską pokryty był trawą, trzeba się było czołgać, — w ten sposób doszliśmy na mniej więcej 150 mtr. Wtem przez niedość ostrożne postawienie przezemnie nogi i uderzenie obcasem o kamień, którego nie zauważyłem w trawie, nosorożce zostały zaalarmowane i momentalnie zwróciły się do nas głowami, wydając charakterystyczne sapanie. Zadziwiającą jest szybkość ruchów tych potężnych i ciężkich, zda się na pozór, stworzeń. W sekundę potem nosorożce, jak wiatr, ruszyły w naszym kierunku; widocznie czuły nas, przypuszczam jednak, że nie mogły nas widzieć na tę odległość, ponieważ w chwili, gdy nosorożce zdradziły chęć atakowania nas, rzuciliśmy się na ziemię i przylegli wśród suchej trawy, która, niestety, zaledwie na parę cali była wysoką. Wobec szalonej szybkości, z jaką nosorożce do nas się zbliżały, położenie nasze nie było bardzo bezpieczne, — trzeba było szukać ratunku w sztucerach. Daliśmy po jednym strzale, mierząc do pierwszej, idącej sztuki, którym był samiec. Po strzałach nosorożce zmieniły kierunek i zbaczając zlekka na prawo, przeszły obok nas na 20—30 metrów.

Podziwialiśmy małego nosorożca, który, mimo potężnej szybkości, z jaką szły stare, mógł im nadążyć, trzymając się boku matki. W chwilę wszystkie trzy sztuki zginęły za wzgórzem.

Idąc w ślad za niemi wśród strasznego upału, doszliśmy je znowu na strzał. Towarzysz mój, idąc na przodzie, strzelił pierwszy. Nosorożce tym razem już nie próbowały atakowania nas i pomknęły wkrótce, ginąc nam z oczu na dobre.

Mimo to, szliśmy wiąż dalej za śladami, gdy wtem, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu i radości, spostrzegliśmy małego nosorożca, spacerującego sobie nie dalej, jak o kilkadziesiąt kroków. Widocznie, nie mogąc nadążyć za matką, zabłąkał się wśród trawy dość wysokiej w tem miejscu. Biedaczek krążył w kółko, unosząc łebek do góry, najwidoczniej więc szukał swych rodziców. Żeby nie straszyć małego nosorożca, ukryliśmy się w trawach; jedynie baron B., czołgając się na czworaku, począł się zbliżać, by pochwycić, i o ile się uda, przytrzymać go; niestety, mimo największych ostrożności, gdy towarzysz mój znalazł się już na odległość nie więcej, jak kilka metrów, i miał je już pochwycić, zwierzątko przeczuwając niebezpieczeństwo, zaczęło sapać i rzuciło się do ucieczki. Pogoń stała się daremną i mimo wysiłków ze strony mych strzelców w jednej chwili nosorożec nie dał się zdystansować i wkrótce zginął w zaroślach małego strumienia, odległego o kilometr.

Szczerze zmartwieni nieudanymi łowami, wracaliśmy nawpół żywi ze zmęczenia do obozu, na szczęście, niezbyt odległego. Po drodze zeszedłem stado „Kongoni“, z którego zastrzeliłem jedną sztukę.

2 marca. Dziś, skoro świt, wyruszyliśmy w kierunku wczorajszej przeprawy z nosorożcem, mając nadzieję, że może uda nam się go jeszcze gdzie spotkać, o ile nie został odnalezionym przez stare, i w dalsze, bezpieczniejsze uprowadzony strony, lub też w ciągu nocy rozszarpanym przez hyeny. Drogę obraliśmy sobie doliną, wzdłuż strumienia. Miejscami łożysko tej rzeki, zbyt małej, by mieć swe nazwisko, rozszerzało się niekiedy znacznie, tworząc przepyszne łąki, porośnięte wspaniałemi drzewami i krzewami. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział równie piękny park, stworzony ręką ludzką, choć do złudzenia niekiedy zdawało się, że sztucznie tam powycinane zostały perspektywy, to znów kuliste krzewy grupami symetrycznie rozstawione, tworzyły prześliczne klomby.

Nie dalej, jak o pół wiorsty od obozu, na naniesionym przez wodę piasku, znaleźliśmy świeżutkie ślady żyrafy, idące w naszym i jednocześnie przeciwnym kierunku. Towarzysz mój w jednej chwili zadecydował, że nie dalej, jak godzinę temu, i żyrafa ta szła w naszym kierunku, lecz, spotkawszy obóz na swej drodze, zawróciła z powrotem. Szanse spotkania mieliśmy wielkie, ponieważ, mając z jednej strony szerokie, a z drugiej wysokie na kilkanaście metrów i nieomal że prostopadłe skały, żyrafa zniewoloną była postępować wzdłuż rzeki.

Przewidując każdej chwili spotkanie, zostawiliśmy wszystkich ludzi, zatrzymując jednak po jednym strzelcu, niosącym zapasową broń i jednego chłopca z koszykiem, zawierającym nasze śniadanie i wodę do picia. Co kilkadziesiąt kroków przystawaliśmy, by uważnie przez lornetkę przeszukiwać okolicę; ważną to bowiem jest rzeczą spostrzedz zwierzę, nie będąc zauważonym, i to szczególniej przez tak płochą zwierzynę, jaką jest żyrafa.

Żyrafę spostrzegł pierwszy chłopiec, idący z koszykami na głowie o dobre 20 kroków za nami. Cudowny wzrok mają ci ludzie, a „Nuss-rupia“*) wprost był nadzwyczajnym. Wskazał on nam żyrafę, stojącą przy drzewie w pobliżu strumienia o dobre 1,000 metrów. Ludzie natychmiast położyli się na ziemi, gdy ja z baronem pod osłoną krzewu, rosnącego na prostej linii, podchodziliśmy w kierunku objadającej spokojnie młode czubki drzewa, żyrafy. Przez szkła na prędce obserwując, towarzysz mój orzekł, że jest to niebywale stary samiec. Wiatr bardzo słaby mieliśmy na szczęście przychylny i niespostrzeżenie do-

*) Nuss-rupia = pół rupii, z plemienia Wa-Kamba.

szliśmy do krzewu, będącego naszą osłoną. Dalej rozciągała się przepyszna, zielona łąka, nie sposób więc było wychylać się po za osłonę.

Tak więc, mimo że na oko oceniliśmy odległość na jakie 300 metrów trzeba się było zdecydować na strzał. Wstrzymując oddech, posłałem pierwszą mą kulę z 9-milimetrowego karabina w chwili, gdy żyrafa pokazała cały swój bok.

Strzał, na szczęście, nie chybił. Ranione zwierzę rzuciło się do ucieczki, po chwili jednakże, zwolniwszy kroku, powoli posuwać się poczęło. Wyczekawszy chwilę, gdy żyrafę przysłoniły drzewa, wyszliśmy z ukrycia, i zataczając niewielkie koło, pod osłoną skał doszedłem jeszcze raz do strzałów, tym razem jednakże, widocznie ze zmęczenia, obiedwie kule poszły sobie światami, a spłoszona żyrafa, jak rozbujany okręt, poczęła uchodzić, i wkrótce już tylko, jako punkcik, widniała na horyzoncie.

(C. d n.).



BALISTOL.

Ujemną stroną wszystkich małodymnych prochów jest okwaszanie luf, fatalnie niszczące broń i strzał. Podstawową częścią każdego małodymnego prochu jest kwas azotny, który oswabadza się przy eksplozyi prochu i powoduje owo fatalne zakwaszenie, wygryzające w metalu doły i dziury. Chemicy wynaleźli dużo rozmaitych środków, w celu zneutralizowania tego niszczącego działania kwasu, — dali nam Curol, Alcalin, Cerwin i wiele innych. Skuteczność ich jednak okazała się bardzo wątpliwą. Alcalin rzeczywiście czyści wybornie lufy, ale ma w swoim składzie jakiś preparat ostry, który zanadto trze i poleruje lufy. Ta jego własność polerowania źle wpływa na strzał i dlatego pre ar t ten może być używany tylko w wyjątkowych razach, i to bardzo rzadko, przy wielkiem zanieczyszczeniu i okwaszeniu luf. Cerwin, w którego skład wchodzi amoniak, nadzwyczaj szybko się rozczepia, t. j. amoniak ulatnia się, a wskutek tego działanie jego jest bardzo krótkie i niewystarczające do odkwaszenia metalu. Curol neutralizuje kwas bardzo słabo, a jako bardzo ciekły, opływa i odsłania metal na działanie powietrza, potęgujące jeszcze bard iej rdzawienie.

Ostatecznie chemia dała nam Balistol. Używam go do czyszczenia i konserwacyi broni d paru miesięcy i ściśle obserwuję jego działanie. Z tego, com doświadczył, sądzę, że jest to jeden z najlepszych, dotychczas wynalezionych środków odkwaszających do czyszczenia i konserwacyi luf. Po strzelaniu zwykle wycieram lufy pakułami, następnie smaruję lufy Balistolem i czyszczę angielską, twardą, włosianą szczotką. Po tej operacyi znów wycieram lufy pakułami i watą do czysta i powtórnie smaruję Balistolem. Po kilku dniach trzeba powtórzyć czyszczenie luf, — nasmarować Balistolem i zostawić tak aż do następnego użycia.

Ważną jest też rzeczą, żeby przed strzelaniem nie wycierać luf, a strzelać koniecznie z nasmarowanych Balistolem, to bowiem już przy strzale częściowo ochrania je od działania kwasu, zawartego w nalocie prochowym. Balistol również wybornie służy do powierzchownej konserwacyi luf, baskili i zamków, a nawet wzmacnia i konserwuje drzewo osady. Inni myśliwi, podobno z dobrym też skutkiem, tylko wycierają po strzelaniu lufy pakułami,—smarują Balistolem i dopiero na drugi dzień powtórnie czyszczą, poczem, po nasmarowaniu Balistolem, zostawiają broń do następnego użycia.

Balistol, łącząc się z kwasami, czernieje. Czarne plamy w lufach są wskazówką, że broń trzeba przeczyscić i na nowo nasmarować Balistolem. Jednem słowem Balistol, czy tak, czy owak będzie użyty, jest bez zaprzeczenia doskonałym środkiem do utrzymania w czystości luf i wogóle całej broni.

Edward Orda.



WALKA BYKÓW.

W d. 6 października r. z., gdy o godzinie 5-ej rano, byłem w górnej części mego rewiru, który mi losem przypadł podczas rykowiska, usłyszałem kilka porykujących jeleni. Rzecz dziwna, bo dotąd uporczywie od 20 września milczały. Zauważyłem, że głosy te posuwają się ku górnej części rewiru, którego granica kończyła się wązką linijką, Nr. 2 nazwaną. Pomiędzy tymi głosami zwrócił uwagę moją ryk basowy, jakby grobowy, jednego z jeleni. Starałem się przeciąć drogę dążącym po za linię Nr. 2 jeleniom, niestety, posuwały się one tak szybko że przeszły wyżej oznaczoną linię. Przybywszy na nią, słyszałem nietylko ów ryk grobowy jelenia, lecz wiele innych, były tam basy, tenory, dyszkanty, lecz ryk ten basowy odznaczał się stale pomiędzy wszystkimi.

Stałem bezradny na linii, wtem z przeciwnej strony słychać kilka głosów jeleni, dążących gdzieś z góry ku mej stronie. Linijka Nr. 2 miała za sobą gęsty pas 15-letniej świerczyny, po za nim ciągnął się szeroki, częsty wzrąb, około 400 mtr. szerokości, zarosły maliniakami i wysoką trawą. Jelenie z góry dążyły przez ten częsty wzrąb do tej gęstwiny, tam, gdzie patryarcha, jeleń, o basowym ryku, stałe zajął miejsce.

Już zaczęło świtać i co raz wyraźniej widać było, ryk wszystkich jeleni potęgował się, ani na chwilę nie ustawał. Ryczało tam najmniej ośm jeleni, które z wszystkich stron ku sobie się zbliżały. Miejsce, gdzie stał jeleń o tym wyrazistym, basowym, grubym głosie, nie musiało być odemnie dalej, jak 20—30 kroków; słyszałem wyraźnie chód tego patryarchy, trącanie rogami o gałęzie i sapanie jego. Widocznie był w bardzo wojowniczem usposobieniu, bo pomruki jego były krótkie, urywane, lecz tak wyraźnie odbijające się od innych ryków, że cała moja uwaga na ten głos była zwrócona. Lecz z drugiej strony dolatywał ryk potężny, wyróżniający się od innych, ryczących jeleni. Pomyślałem, oto dwaj patryarchowie tych lasów schodzą się, aby walczyć, otoczeni chórem drobniejsz ch wasali Już dzień się zrobił zupełny, jużby można podejść, przejść linijkę Nr. 2, podkraść się wśród ryku i strzelić do tego patryarchy jeleniego rodu, stojącego nie dalej, jak dwadzieścia kroków od granicy mojej; to tak mało. Ale karność myśliwska, która mi przez rodzica w umysł i serce wpojoną została, przemogła. Zdecydowałem się czekać, aż potentat tych lasów po ukończonym ryku, by do swych dziennych leż powrócić, przez dwójkę zechce przejść, przypuszczałem bowiem, że przez nią przejdzie, bo ztamtąd do dnia przyszedł.

Karność odniosła zwycięztwo, a ja nagrodę, jak wkrótce opowiem. Stałem więc na dwójce i wsłuchywałem się w tę pieśń tych królów lasu, która mieszała się w rozmaite tony, lecz dwa głosy odbijały się wyraźnie od innych, widocznie najsilniejszych jeleni tej kniei. Po kilku kwadransach tych preludyów ryku, gdy się wszystkie jelenie zbliżyły do miejsca, gdzie jeleń o grobowym głosie stał, zaczął się taki harmider, że to nie był ryk pojedyń-

czych kilku jeleni, lecz ryczenie bydła rozjuszonego Nie, nie jestem w stanie opisać tego, com słyszał w tej chwili, bo jak czasem na pastwisku woły się rozigrają i ryczą, tak ryczały te jelenie, jedne długo, drugie krótko i głos urywały, bo tak były już zmęczone, że czasem tylko chrapliwe wydawały tony z trudnością, ale nad wszystkimi górował grobowy ryk mojego faworyta. Po chwili, wśród najsilniejszego ryku, gdy już ucho moje wyraźnie słyszało, że wszystkie jelenie są na obszarze kilkudziesięciu kroków, zaczęło się wkrótce zamieszanie, świerki się chwiały, to w tem, to w innem miejscu gałęzie suche trzeszczały na świerkach i pod nogami biegających jeleni, zaczęła się więc walka, wyraźnie ją słychać było, bo naraz wśród takiego ryku, o jakim wyobrażenia nie miałem, że on wśród jeleni słyszeć się daje, walka na rogi; co chwila uderzały z łoskotem wieńce o wieniec. Jak długo to trwało, nie wiem, stałem w takiej extazie, że czasu dziś oznaczyć nie mogę. Po głuchym łoskocie uderzeń rogów, nastawała pauza, słychać było tylko zmęczone sapanie walczących i głuche, urywane poryki, Po chwili znowu szalone uderzenie rogów, które kilka minut trwało i znowu ryki i sapania. Las chodził, świerki się słaniały ku ziemi, a nigdy ani jeden z walczących, ani spektatorów walki nie pokazał mi się na oko.

Ryki coraz mniejsze, więcej urywane, głos basowy góruje, jak zawsze, w tem samem miejscu; czuję, że jelenie się rozchodzą, posuwają się wzdłuż linii ku lewej ręce. Posuwam się za nimi, lecz ryk zwycięzki, ryk grobowy ciągle w tem samem miejscu słychać; to mój jeleń-patryarcha ogłasza zwycięztwo i pozostaje na miejscu, pobił tamtego, utrzymując się przy placu boju, i pewnie wdzięcznej łance ryczy zwycięzko, więc wracam z powrotem na prawo.

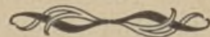
Wtem pada strzał na zrębie, to mój sąsiad strzelił, który po drugiej stronie był spektatorem tej walki; on widział wszystkie jelenie, prócz tego patryarchy; widząc, że walka się kończy, że jelenie się rozchodzą, strzelił do jednego z wynoszących się jeleni z pola walki. Jak później się dowiedziałem, strzał był do silnego dwunastaka, ale bezskuteczny. Po strzale, jakby makiem zasiał, nic nie ryczało, ani gałąź nie trzasła; zdawało się, że się olbrzymy w ziemię zapadły, ale one stały; jam o tem wiedział, że ten mądry zwierz stoi cicho w gąszczu, aby, zwietrzywszy, gdzie niebezpieczeństwo, cicho, jak ptaszek, wynieść się w stronę, gdzie niebezpieczeństwa niema, cicho, bez szmeru, nie złamawszy gałązki, nie trąciwszy rogiem podczas przesuwania się gąszczem. Pewnie z dziesięć minut trwała ta cisza. Z okiem, wpatrzonem wzdłuż linijki, ze słuchem wpojonym w gęstą świerczynę, stałem nioruchomo; czułem, że część jeleni wyniesie się gęstą świerczyną, albo wzdłuż linijki, lub przez nią. Naraz coś zaszeleściało więcej na lewo odemnie, posunąłem się kilka kroków, łanka maleńka, pierwiastka, wychyliła głowę na linię, ona, przedmiot walki, o nią to chodziło, bo stare łanie z powodu porzucania płodu, zupełnie się tego roku nie latowały. Do niej więc wszystkie jelenie z rewiru się poschodziły i o nią walczyły. Łanka linii nie przeszła, lecz wróciła w gąszcz; sądziłem, że się posunęła na lewo, wzdłuż linii. Stanąłem na jej tropie, nasłuchując, zaraz potem wyszedł tym tropem dwunastak i przeszedł cicho przez linię, ani na myśl nie przyszło do niego strzelić, bo to jeden z pobitych jeleni uciekał, korony na rogach nie miał, to nie zwycięzca; znowu kilkadziesiąt kroków ku lewej ręce się posuwam, słyszę gorzej, więc pytający wzok kieruję na gajowego, który mi towarzyszył, on palcem ruszył, że coś idzie znowu; nic nie trzeszczy, nic nie szumi, wtem świerki się rozchylają; to idzie zwycięzca, przeczucie mówi. Stałem w parowie, z góry się coś spuszcza, to jeleń idzie całkiem powoli, widzę dwa długie końce rogów; śpiczak, myślę, bo bardzo długie; o nie, to nie szpiczak, to kolos jeleń, to dwa końce u jednego rogu. Olbrzym ten ani nie trzasnął gałązką, idąc, ani szmeru nie robi żadnego, jak cień, przesuwa się pomiędzy świerkami. Jeszcze krok naprzód, łopata ogromna na cel i o 10 kroków wali się jeleń-olbrzym, rogi bardzo grube, najmniej czternastak, nie, tylko dziesiątak, ale jaki! Przybiegam, kona trafiony w szyję koło komory. Końce bardzo długie, łopata szeroka, innego nie chcę nigdy w życiu. Patrzę na pysk, otwieram, by grandle zobaczyć; o dziwo, rana na pysku jakby od okrągłej kuli, grandla jednego niema, rana w podniebieniu na kilka cali, to nie od kuli, lecz rana zadana rogiem rywala, częściowe rozczarowanie, to nie zwycięzca, lecz pobity, wynoszący się sromotnie. O, jakim musiał być zwycięzcą, kiedy zwyciężony jest pierwszej klasy jeleniem.

Długość rogów 109 cent., grubość w najcieńszem miejscu 17 cent., szerokość łopaty 14 cent., długość końców po za łopatą 25 cent. Obwód korony 27 cent., rogi grubo uperlone, czarne, wzdłuż rogów wyraźne rowki, cechujące bardzo starego jelenia.

Niestety, nazajutrz widziałem prawdopodobnie zwycięzcę dzisiejszej walki, bo niedaleko od miejsca wczorajszej bitwy, byłem świadkiem drugiej takiej walki jeleni, może nie tak zaciętej, lecz głosu grobowego już nie słyszałem, staruszek padł od mej kuli. Zwycięzcą był czternastak, widziałem go w drugiej walce, gdy za potężnym gonił jeleniem, a był w ciele o metr wyższym od mego, który robił wrażenie, będąc przy nim, jak klacz przy źrebięciu. Niestety, gdy goniony, wpadł mi pod nogi i spłoszył się, olbrzym stanął za dwiema jodłami zrosłemi i pokazał mi tylko nogi i wieńce. Gdym się wykręcał, aby znaleźć szlachetne miejsce dla umieszczenia kuli, zrozumiał niebezpieczeństwo i tak się gdzieś podział, zakryty temi dwiema jodłami, że nawet nie wiedziałem, gdzie uszedł, i zniknął mi zupełnie. Widziałem go potem o kilkaset kroków, gdy przeskakiwał kłodę za maleńką łanką, zdaje się, że tą samą, co wczoraj, będącą przedmiotem walk dwudniowych, a którą on zdobył,—miał grzywę po kolana, jak Yak tybetański. Lecz wieńce, wieńce, one mi tkwią w pamięci. Bardzo rozłożyste, conajmniej metr między rogami w środku, końce w łopacie krótkie, trzy na górze, jeden trochę niżej, lecz grubość pod koroną, grubości ręki dorosłego mężczyzny wyżej odnogi środkowej. Wieńce żółtawe, więc przybysz z lasów bukowych. Oby go w życiu jeszcze raz zobaczyć, a dostać, tenby z pewnością wspaniałego dziesiątaka w piękności przewyższył.

(„Łowiec“). *Aleksander Wodzicki.*

Olejów, w październiku, 1907 r.



Nasze gospodarstwo łowieckie w pierwszej połowie XIX w.

Urzędnik do szczególnych poruczeń przy „Komisyi rządowej przychodów i skarbu“, ś. p. Mikołaj Reumann, po 20-letniej pracy w zawodzie leśnym pod zwierzchnictwem szambelana Adama Łęskiego, dyrektora wydziału dóbr i lasów, — napisał w roku 1843 obszerne dzieło o gospodarstwie łowieckiem i nauce łowiectwa. Z pracy tej wyjmujemy parę szczegółów, dotyczących ówczesnego zwierzostanu, a wymownie świadczących, że już wtenczas działo się niedobrze. Niektóre z tych uwag cennych nie straciły jeszcze i dzisiaj na aktualności.

Rozległe lasy iglaste i liściowe naszego kraju, pisze między innemi, w położeniu zgórystem i równem, na przemian łąkami ubarwione, orzeźwiane rzekami i strumieniami, napełnione być winny różnym gatunkiem zwierząt łownych.

Tymczasem myśliwy, podobnie sądzący, boleśnie zawiedzionym zostanie; bo nie łatwo gdzie znajdzie knieję, obfitą w drobną zwierzynę, zwierz zaś gruby prawie wszędzie wyniszczony, a niedostatek pod tym względem nader już dotykalny i stosunkowo w żadnym kraju ościennym nie okazuje się większy, niż u nas. Tego jednak na karb niedogodnej miejscowości policzyć niemożna, lecz wyniszczenie tak szlachetnych zwierząt łownych, jak coroczne zmniejszanie się liczby zajęcy i kuropatw na polach, jedynie przypisać wypada zbyt często powtarzanemu polowaniu, które od wieków uważane jest u nas tylko za przedmiot rozrywki, nigdy zaś jako źródło dochodów, jak równie i obojętności w przedsięwzięciu środków ku wytępieniu mnogiej liczby ptaków i zwierząt drapieżnych, swobodnie się rozpładniających.

Nie przypisujmy więc tego ziemi, co jedynie jest skutkiem naszego niedbalstwa, niechęci i zupełnej opieszałości w osiągnieniu własnych korzyści. Nasi myśliwi w ogólności nie dbają o rozmnożenie i hodowanie zwierzyny, owszem, cała ich dążność jest: zaspokoić swą namiętność myśliwską, na tem zasadzającą się: żeby co rok największą liczbę zwierzyny upolować, bez względu, chociażby ostatni wyginął zaród; a na usprawiedliwienie przytaczają, że jeżeli nie od niego, to od kogo innego ginąć będzie; szczęśliwy więc ten, który jej pierwszy cios śmiertelny zada. Wykształcenie strzelca naszego, jedynie na tem zależy, aby umiał nabijać strzelbę i celnie strzelać. Nasi myśliwi znają zasady strzeleckie, umieją więc ubijać zwierzynę, ale ani hodować jej nie potrafią, ani oznaczyć stosunku, w jakiej liczbie ona utrzymana być powinna, i w jakiej tylko ilości corocznie ubijaną być może, żeby właścicielowi większą przyniosła korzyść, i nieprzerwanie trwały stanowiła dochód. Jedynie więc od upowszechnienia tej nauki zależy prędsze rozmnożenie się zwierza i ptactwa łownego; a takie wiadomości łowieckie nietylko myśliwi i strzelcy posiadać powinni, ale i sami właściciele pól lub lasów, jeżeli w należytej liczbie łowną zwierzynę na swych gruntach i lasach hodować zamyślają.

Dotychczasowe wyobrażenia o myślistwie przyczyniły się do wypustoszenia naszych lasów z grubej zwierzyny, ogołociły niwy i gaiki z drobnej zwierzyny, a prawdziwy miłośnik łowów z boleścią spogląda na najpiękniejsze knieje, niegdyś ożywione licznemi stadami rozmaitego zwierza, dziś smutne i puste.

Ile nasze lasy w różne gatunki zwierza obfitowały, przekonywają dzieje krajowe. Królowie i zamożni panowie wielkie odprawiali łowy w różnych puszczach na żubry i łosie, z których ostatnie tylko w nader małej liczbie na nowo pokazywać się zaczynają w leśnictwie rządowem Rajgród w gubernii augustowskiej. Jeleń znajduje się jeszcze w czterech guberniach: kaliskiej, mazowieckiej, sandomierskiej i kieleckiej.

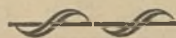
Dziś żyje jeleń w leśnictwach: Krzepice, Gidle, Piotrków, Łaznów, Lubochnia, Chlewiska, Szydłowiec, Kozienice, Samsonów, Bodzentyn, Iłża, Zwoleń, Łagów, Małogoszcz, Kielce, Olkusz i Olsztyn.

Niegdyś dość był liczny w całym kraju, albowiem rogi jelenie, napotykane często w lasach nadniemeńskich i wielu innych, stanowią niezaprzeczone dowody o jego w nich bytności.

O milę od prawego brzegu Wisły, we wsi Życzynie, należącej do dóbr książąt Radziwiłłów, w pow. łukowskim, w r. 1838, przy kopaniu sadzawki w miejscu, gdzie przed 20-tu laty rosła olszyna, wydobyto róg jelenia, co stwierdza domniemanie, że w przyległych lasach, przy nader dogodnej miejscowości, zwierz ten dawniej licznie przebywał.

Nad rzeką Bzurą, w okolicach Łowicza, polscy Prymasi wyprawiali łowy na łosie i jelenie. A oswobodziciel Wiednia, Jan III, król Polski odbywał podobne w lasach, zwanych puszczą Kampinoską, od wsi Kampinos, wśród lasu zbudowanej, którą, jak niektórzy pisarze utrzymują, tak nazwano od słów w języku łacińskim przez tegoż monarchę wyrzeczonych: „*Ubi campi nos fuimus*“. Szczątki dawnej puszczy składają dziś leśnictwo rządowe Kampinos, lecz łoś i jeleń, pomimo dogodnej miejscowości, ścigany bez umiarkowania przez łowców, niepokojony od włościan, osiedlających się wśród lasów, dawno je, i to bezpowrotnie opuścił.

(Dok. nast.).

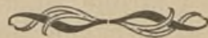


Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 18 grudnia. Dr. Tomczycki, właściciel majątku Grzmiące, w pow. radomskim, mającego 57 włók rozległości, proponuje Towarzystwu wzięcie w dzierżawę polowania. Majątek ten, położony w pobliżu Spały, ma 50 włók lasu i obfituje w zwierzynę, nawet grubą, jak dziki i jelenie. Przestrzeń to dla naszego Oddziału za mała, dla Kółka myśliwskiego nadawałaby się jednak doskonale, Rada przeto postanowiła powiadomić o tem ogół Członków Oddziału.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej z dn. 30 grudnia z. r. na miejsce p. Adolfa Korsaka, który ustąpił ze stanowiska przewodniczącego, powołano przez głosowanie d-ra Władysława Tyrchowskiego.

Pozatem zaliczeni zostali następujący kandydaci w poczet Rzeczywistych Członków oddziału, pp.: Onacewicz Michał z Warszawy, Szuszkowski Aleksander z Warszawy, Zborowski Józef z Warszawy, Nabokow Sergiusz z Warszawy, Czarnocki Stanisław z Warszawy, Woliński Adolf z Warszawy, Januszewski Edward z Warszawy, Gaładyk Franciszek z Warszawy, Otwinowski Jan z Warszawy.



Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W d. 30 listopada i 7 grudnia polowano w lasach Lućmierzy (pow. łęczycki) u p. Wład. Boettichera. W pierwszym dniu zabito 137 zajęcy, w drugim 58 zajęcy, 1 rogacza, 3 kuropatwy i 1 cietrzewia. Widziano kilkanaście sztuk dzików, które jednak na myśliwych nie wyszły. Śnieg z deszczem zepsuł drugie z wymienionych polowań, które dałoby rezultat o wiele lepszy.

W d. 10 grudnia w Gościnuej (gub. piotrkowska), u p. Wiktora Sokołowskiego w 6 pędzeniach zabito: 21 zajęcy, 11 bażantów, 6 kuropatw i 1 sowę. Należy zaznaczyć dbałość gospodarza o rozmnożenie bażantów na dziko. Przed trzema laty sprowadził p. Sokołowski 6 sztuk młodych bażantów, a dziś posiada ich przeszło 100 sztuk.

Na polowaniu d. 14 grudnia w Nieznanicach, gub. piotrkowskiej, u p. A. Wünschego w 10 strzelb na 33 włókach pola i 5 włókach lasu zabito: 214 zajęcy, 5 bażantow, 2 cietrzewie i 3 króliki, co w porównaniu z rezultatem zeszłorocznym 526 sztuk, wskazuje na lichy, tegoroczny stan zajęcy, ktore w lecie znajdywano martwe na polach. Królem polowania był p. Weisser z 32 sztukami na rozkładzie.

W Radziejowicach (gub. warszawska) u Edwarda hr. Krasińskiego odbyło się w d. 17, 18 i 19 grudnia doroczne polowanie, na którem w 10 strzelb zabito: 9 rogaczy, 484 zajęcy, 48 bażantów i 12 kuropatw. Uczestnicy polowania uznają, że prowadzone ono było wzorowo. Przy tegorocznym, nizkim poziomie zwierzostanów naszych rezultat powyższy należy zaliczyć do lepszych.

W majątku p. Maksymiliana Netzla, Rokszyce (gub. piotrkowska) odbyło się w dniu 14-ym grudnia r. z. polowanie w 13 strzelb. Zabito 151 sztuk, a mianowicie: 124 zające, 1 lisa, 18 kuropatw, 7 bażantów i 1 cietrzewia. Królem polowania był p. Herman Knothe, który miał na rozkładzie 22 sztuki.

W d. 21 grudnia r. z. polowano w Strzegocinie (pow. łęczycki) u p. Bolesława Góreckiego. Zabito 205 zajęcy i 40 kuropatw w 15 strzelb. Królem polowania był p. Kazimierz Wodziński z Kter, mający na rozkładzie 23 zające i 9 kuropatw.

W d. 24 grudnia r. z., jako w dzień Wigilijny, rozpoczęła się serya tegorocznych polowań w dobrach Wilanowskich. Polowano w 10 strzelb i zabito 91 zajęcy, oraz 30 kuropatw. Królował Ksawery hr. Branicki, mający na rozkładzie 12 zajęcy i 6 kuropatw. Polowanie to było zarazem debiutem trzech młodych hr. Branickich: Konstantego, Adama i Władysława, synów hr. Ksawerego, którzy po raz pierwszy stanęli na stanowiskach na większem polowaniu zbiorowem. Niechże im św. Hubert dopomaga w dalszej karyerze łowieckiej.

W dn. 13 grudnia odbyło się czwarte w tym sezonie, zbiorowe polowanie Członków Warszawskiego Oddziału Tow. praw. myślistwa. Polowano na polach Osieckich w 20 strzelb i zabito: 86 zajęcy i 13 kuropatw. Królem polowania był dr. Korybut-Daszkiewicz, który miał na rozkładzie 12 zajęcy i 1 kurę.

Piąte polowanie odbyło się w dn. 21 grudnia na Sobieniach, również w 20 strzelb. Zabito: 105 zajęcy, 3 kury i 2 cietrzewie. Królestwo tu podzieliło się pomiędzy pp. Szellera, który miał 9 zajęcy i 2 kuropatwy, i p. Sznajdra, który miał 12 zajęcy i 1 cietrzewia, co licząc na punkty (po 3 punkty pióro), wynosi po 15 punktów.

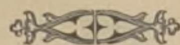
Na Szlązku Górnym, w majątku p. Szmakowskiego, podczas dwóch dni polowań w lesie w Radowie, ubito dn. 11 listopada r. z., w rewirze Kopalinie, na przestrzeni 600 morgów, w 9 strzelb: 78 zajęcy, 48 królików, 6 bażantów; pogoda była trochę mroźna, bez śniegu.

Dn. 25 listopada t. r., w rewirze Damniku około 800 morgów, w 10 strzelb, ubito: 108 zajęcy i 41 królików; pogoda była jasna, lekki przymrozek z cienką ponową.

W majątku posła z Poznańskiego, Dziembowskiego, w rewirze Bobelwicu, odbyło się dn. 14 października r. z., podczas bardzo ładnej pogody, polowanie w 12 strzelb, z 30 ludźmi naganki, na którem padło 42 zajęcy, 37 królików, 2 słonki, lis, pies zdziczały, wrona i wiewiórka. Królem był leśniczy Szpet, który miał 14 sztuk.

Tamże dn. 21 tegoż miesiąca r. z., podczas ładnej pogody, w 9 strzelb i 20 osób naganki, ubito: 34 zające, 58 królików i 1 wiewiórkę. Królem był poseł Dziembowski, który miał 19 sztuk na rozkładzie.

Wreszcie dn. 26 t. m. w przeciągu trzech godzin, nad wodą, podczas mgły, w 5 strzelb i 5 osób naganki, ubito: 20 bażantów, 2 kuropatwy, lisa i zająca. W roku zeszłym rozkład był tutaj o wiele lepszy.



Drobiazgi myśliwskie.

Brak zwierzyny. Zima tegoroczna nie obfituje w zwierzynę. W szczególności panuje oddawna już niepraktykowany brak zajęcy, których cena wzrasta.

Pieczeń z psa wściekłego. W Łące Paulinów na Śląsku stwierdzono wściekliznę u psa, który pokąsał pewne dziecko. Zaszedł przytem ciekawy wypadek. Gdy, mianowicie, po stwierdzeniu wścieklizny policya chciała zabitego psa zabrać, znalazła już tylko wybornie z niego sporządzoną pieczeń. Miłośnicy psiej pieczeni doznali tym razem rozczarowania, bo policya pieczeń niebezpieczną skonfiskowała.

Z Górnego Szlązka. W początkach października r. z. zabito na Górnym Szlązku rzadki egzemplarz czapli purpurowej (*Ardea purpurea*), oraz rzadkie również 3 orzechówki (*Nucifraga caryocataces*). Od 10 lat widziano tu po raz pierwszy ciąg żórawi (*Grus grus*), które w liczbie 16 sztuk szybowały z północy na południe. Ciąg słonek był wyjątkowo udatny.

Starożytna broń. W okolicach miasteczka Molingian w pow. święciańskim, gub. wileńska, istnieje dwór Rekicie, należący do państwa Bilakiewiczów. Gdy późną jesienią oczyszczano tam stawy, znaleziono na dnie ich starożytną broń, zatopioną podczas powstania 1863 r. Broń ta i na one czasy miała tylko znaczenie historyczne i pamiątkowe.

Późny lęg cietrzewi. Pod Elberfeldem, w Niemczech, widziano w początkach listopada r. z. cieciorkę, która miała w gnieździe 5 młodych, wielkości szpaków.

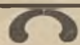
Tajemnica lotu. „Figaro“ ogłasza sensacyjną wiadomość, że jednemu z techników paryskich udało się wreszcie odkryć tajemnicę lotu ptaków i że na podstawie tego zbuduje on nową machinę do latania, która wywoła przewrót w aeronautyce.

Przemytnictwo broni. Sułtan Abdul-Azis odniósł się urzędowo do Francyi i Hiszpanii o ukrócenie przemytnictwa broni na wybrzeżach i w portach marokońskich.

Wyprawa myśliwska. Donoszą z Nowego Yorku, że prezydent Roosevelt oświadczył, iż po skończeniu terminu urzędowania, odwiedzi Niemcy, następnie zaś uda się na wyprawę myśliwską do Afryki i Indyj angielskich.

Jubileusz wróbla. Wróbel, będący wśród ptaków ulicznikiem, a właściwie dziecięciem ulicy, doczekał się 50-letniego jubileuszu swego przebywania w Ameryce. Przed pół wiekiem został tam przewieziony dla przeciwdziałania pladze owadów, niszczących owoce. W r. 1852 przywieziono do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 8 parek, ale wyginęły. Drugi transport przybył w roku następnym. 50 wróbli wypuszczono w porcie nowoyorskim, drugie tyle zamknięto w kaplicy cmentarza Greenwood, i potem na wiosnę 1854 r. wypuszczono je na wolność. Wróble nie rozmnażały się. Dopiero transport, wyprawiony w r. 1857 z Anglii i rozwieziony po całym kraju, zaaklimatyzował się. Wabiono je wszędzie

ziarnem, oswoiły się i śmiertelność wśród nich ustała. Obecnie Amerykanie zastanawiają się, czy ta emigracya przyniosła im korzyści, czy straty. Jedni, liczniejsi, dowodzą, że suma strat przeważa, bo jakkolwiek wróble tępią owady, jednocześnie wszelako czynią w sadach owocowych duże spustoszenia, przewyższające osiągany z nich pożytek. Zachodzi nawet obawa że wróbel, zapraszany usilnie przed laty 50-ciu, przestanie być uważany za pożądanego gościa i że zaczną się z nim obchodzić, jak z intruzem. Już i dziś wypowiadają mu gdzieniegdzie wojnę.



Zapytania i odpowiedzi.

Zapytanie Nr. 1. Zwracam się do Szanownej Redakcyi, jako do jedynego źródła, skąd informacyi zaczerpnąć mogę, z prośbą o łaskawą odpowiedź na następujące pytanie:

Pies mój, młody, 3-letni, łagodny i wesoły zwykle wyżeł, przed kilku dniami zachorował nagle. Gardło mu nieco opuchło, pies stracił humor, wejrzenie stało się ponurem, przytem gardło wewnątrz miało barwę ciemnobrunatną i wyglądało, jak gdyby spieczone. Choroba ciągnęła się trzy dni, poczem na trzeci dzień o północy pod oknem usłyszałem bolesne wycie, wycie niezwykle żałosne. Na drugi dzień rano pies nie żył.

Według słów stróża nocnego, który nadbiegł na jego skomlenie: — *pies sam się zagryzł* „Kiedym się doń zbliżył, mówi stróż, „Pay", zwykle łagodny, rzucił się na mnie, poczem w ataku furyi zaczął sam się kąsać, wyjąc przytem przeraźliwie".

Rzeczywiście, opatrzywszy miejsce, gdzie się dramat ów rozegrał, doszedłem do przekonania, że pies sam się musiał zagryźć.

Zaznaczyć przytem należy, że poprzedniej nocy, *o tej samej godzinie,* „Pay" miał podobny atak.

Przez cały czas trwania choroby pies nic nie jadł.

Zapytuję więc Szanownej Redakcyi, azali to czasem nie była wścieklizna. A może który z kolegów-myśliwych miał podobny wypadek?

W nadziei, iż Szanowna Redakcya nie odmówi mi objaśnień, łączę wyrazy poważania.

Stanisław Czosnowski.

Bożykowce, 1907 r.

Odpowiedź Nr. 1. Jakkolwiek jedynem pewnem *criterium* dla określenia wścieklizny jest szczepienie zarazka, zebranego z psa chorego, na królikach lub świnkach morskich, to jednak wszystko przypuszczać pozwala, że pies Szanownego Pana uległ w samej rzeczy tej strasznej chorobie. Niema tu miejsca na szczegółowe wymienienie wszystkich symptomatów wścieklizny; postaramy się to kiedy uskutecznić w obszerniejszym artykule; obecnie wymienimy tylko, że spieczone, wyschłe gardło jest jednym z tych objawów. Z drugiej strony psy wściekłe zwracają niekiedy swą furyę przeciw samym sobie. Tak np. H. Bouley *(Rapport sur la rage. Bull de l'Académie de med. 1863)* jako przykład daje psa „epagneul'a", który w paroksyzmie wścieklizny odgryzł sobie ogon. Tenże sam uczony powiada, że niekiedy psy wściekłe wygryzają sobie dziury w skórze, powodując rany, przypominające zwykłe liszaje. Okres trwania wścieklizny u „Paya" był bardzo krótki, gdyż pies ten zdechł czwartego dnia; zwykle osobniki, dotknięte wścieklizną, zdychają szóstego lub ósmego dnia, czasami czwartego, a rzadziej dziewiątego *(H. Bouley, loc. cit.).*

Jan Sztolcman.

Zapytanie Nr. 2. Jako zamiłowany myśliwy-hodowca, udaję się do Szan. Pana z prośbą, aby za pośrednictwem „Łowca Polskiego", jako jedynego organu, traktującego poważnie wszelkie kwestye, mające związek z krajowem łowiectwem, zechciał udzielić mi porady opartej na zasadach nietylko teoretycznych, ale i praktycznych.

Mam przeszło 12 włók lasu, składającego się z trzech włók starodrzewia z lichem podszyciem, a z dziewięciu różnego wieku zagajników, rosnących zwarto w pomieszaniu z brzeziną, modrzewiem, sosną i świerkiem. Zagajniki założone dosyć umiejętnie, to też rosną dobrze i podszycie mają obfite, złożone z różnych traw i wrzosów. Z jednej strony lasu dotyka dosyć rozległa łąka, a raczej nizina, powstała z wybrango kiedyś torfu, lecz obficie porosła trzciną i inną, wysoką, gęstą roślinnością. W tem trafiają się zagłębienia ze stojącą wodą, w których nawet lęgną się dzikie kaczki. Zwierzostan lasu składają sarny, zające i króliki, — tych ostatnich nie zaprowadzono wcale, a zjawiły się z Księstwa Poznańskiego lub z lasów powiatu konińskiego.

Ponieważ lasek ten stoi samotnie w pośród pól żyznych kujawskich, więc sądzę, że byłby to odpowiedni teren dla bażantów, ktkre chcę chować na dziko, tylko idzie o wybór gatunku. Jedni myśliwi doradzają mi mongoły, drudzy zwyczajne czeskie, czyli kaukaskie, a nawet są tacy, co ogromnie zachwalają versicolory. Gdzie leży prawda, proszę rozstrzygnąć.

Z przyszłą wiosną chciałbym się zabrać do tego, więc na wczesnej poradzie zależy mi wiele. Oprócz tego proszę o wskazanie źródła, skąd bażanty zdobyć można i jaką ich ilość na pierwszy raz zapuścić. Do Krośniewic mam najbliżej.

Oprócz tego, chciałbym równocześnie i puhacza zadobyć, tylko nie mam pojęcia, skądby go można zakupić. Wiem, że dawniej Towarzystwo prawidłowego myślistwa sprowadzało puhacze z Pińszczyzny, może i obecnie z tego źródła skorzystaćby się dało, a w takim razie chciałbym wiedzieć jego cenę.

Polecając się względom Szanownego Pana, pozostaję z uszanowaniem.

J. Bies'ekierski.

Płowce, 26 listopada, 1907 r.

Odpowiedź Nr. 2. Z opisu widać, że teren, na którym Szanowny Pan chce rozhodować bażanty, do tego celu nadaje się doskonale, gdyż ptaki te wymagają przedewszystkiem gąszczów i wody. Co do wyboru gatunku, niepodobna jest wskazać, który gatunek jest lepszy, gdyż właściwie dzisiaj wszystkie bażantarnie, szczególniej zaś zagraniczne, są zasiedlone przez mieszańce-przeważnie bażanta czeskiego *(Phasianus colchicus)* i bażanta mongolskiego *(Ph. mongolicus)*, a często z domieszką b. białoobrożnego *(Ph. torquatus)* i b. wielobarwnego *(Ph. versicolor)*, tak, że na osobniki czystej rasy któregokolwiek z tych trzech gatunków jest bardzo trudno trafić. Natomiast możemy poradzić Szanownemu Panu zakup bażantów, ewentualnie jaj bażantów angielskich, mających w sobie przeważnie krew b. mongolskich. Bażanty angielskie, z pomiędzy wszystkich znanych, są najsilniejsze, a jaja ich - wprawdzie droższe od innych— wytwarzają największy procent płodności. Dlatego radzilibyśmy Szanownemu Panu, jako jądro hodowli, zakupić bażanty żywe (licząc po 1 kogucie na 5 kur) w jednej z bażantarń krajowych, np. w Krośniewicach, gdzie, według ostatnich ogłoszeń, sprzedawano każde 10 kur po 27 rb. 50 kop., a nadto skrzynka na 10 ptaków — 2 rb. 50 kop., a oprócz tego sprowadzić pewną ilość jaj z Anglii, wylądz je pod kurami i młodzież puścić na swobodę. Załączamy tu w tym celu adresy niektórych ważniejszych firm bażancich w Anglii: 1) Mr. M. Dwight, the Pheasanteries, Berkhamsted Herts, England. 2) Mr. John Beeson, the West Sussex Game Farm, Warnham, Horsham, Sussex, England. 3) Mr. C. E. M. Russell, F. Z. S., M. R. A. C.—The Mongolian Phea-

santry—near Hythe—Kent—England. Każda z tych firm nadeśle Szanownemu Panu cenniki na żądanie. Z powyższych firm radzilibyśmy Szanownemu Panu p. Russell'a, który, jako członek londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego (F. Z. S.) jest przypuszczalnie poważnym hodowcą i obiecuje największą gwarancyę sumienności.

Co się tycze ilości bażantów, które mają być puszczone na początek, to jest to rzecz dowolna i zależna jedynie od sumy, jaką Szanowny pan pragnie na ten cel poświęcić. Bażant, to rubel. Im więcej rubli włoży się w hodowlę, tem większa ilość bażantów zasiedli dany teren. Nie radzilibyśmy w każdym razie sprowadzać na początek większych ilości z jednej miejscowości, gdyż możnaby trafić wypadkowo na zły ląg i tem samem stracić większą sumę pieniędzy.

Puhacze z Pińszczyzny w ostatnich latach do Warszawy nie nadchodziły. Radzimy Szanownemu Panu sprowadzić sobie z Wiednia, albo od znanego handlarza Gudery, albo od Franka (O. Frank — Vienne (Autriche) — V. Zentagasse, 48). Puhacz, sprowadzony ztamtąd, będzie kosztował 40—45 rb. *loco* majątek.

Jan Sztolcman.

Treść Nr. 1 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** Nowy-Świat 35, (Kancelarya Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa), oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Kantor Redakcyi i Administracyi

„ŁOWCA POLSKIEGO"

przeniesiony został

NA UL. NOWY-SWIAT Nr. 35

(Kancelarya Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa)

i otwarty jest codziennie od godz. 10-ej rano do 4-ej popołudniu.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman**. Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.